

NIWA

TYGODNIK POLSKI

Rok II.

Kurytyba, dnia 6. Lutego 1913 r.

№ 6.

Za wydawców: *Dr. Szymon Kossobudzki*. Redaktor: *Wojciech Szukiewicz*.

Adres redakcji i administracji „Nivy“:
Rua Itararé, 86.

Prenumeratę można opłacać także pod dawnym adresem:

Praga Ozorio, Nr. 14.

Do Czytelników „Nivy“.

Jednym z głównych celów naszego pisma jest budzenie i podtrzymywanie ducha narodowego wśród wychodźców polskich w Paranie zamieszkałych. Rozpoczynamy dziś przedruk bardzo zajmującego opisu powieściowego Ziemi Chełmskiej pióra naszego znakomitego pisarza Władysława Reymonta, w którym mamy przedstawione w sposób barwny prześladowania i cierpienia ludu chełmskiego tak gorąco przywiązanego do swej wiary i narodowości polskiej. Niechaj ci męczennicy posłużą nam za wzór do naśladowania.

RODACY!

W zeszytnym numerze „Nivy“ pomieściliśmy odezwę, wydaną przez Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych polskich, zwołującą cały naród do tworzenia organizacji przygotowującej do walki zbrojnej o wolność Polski, jakoteż do zbierania składek pieniężnych, taka bowiem praca bez znacznych wydatków obejść się nie może.

Odezwy tę poprzedziłsiśmy pięknym artykułem p. Wacława Rodziewicza, zwołującym znowu nas tutaj w Paranie osiadłych do czynienia zupełnie tego samego, to znaczy do zbierania składek i do organizowania się w celu niesienia pomocy Ojczyźnie w chwili, gdy tego będzie potrzeba. P. Rodziewicz zaprasza do wymiany myśli na łamach „Nivy“, do wzajemnego informowania się i porozumiewania wszystkich tych, którzy pragną w tej akcji patriotycznej

uczestniczyć i swój grosz do ogólnego skarbcza narodowego dorzucić.

Nie potrzebujemy chyba drukować oświadczenia, że jak najchętniej będziemy pomieszczać wszelkie głosy w tej tak ważnej sprawie, mamy bowiem nadzieję, że Odezwę tą nie przebrzmi bez echa, i że chętnie odpowimy na wezwwanie ze starego kraju, zwracającego się najwyraźniej do „wszystkich polaków“ a więc i do nas w Brazylii zamieszkałych, do których p. Rodziewicz w tak wymownych słowach na łamach „Nivy“ przemówił.

Zachęci nas może fakt, że rodacy nasi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przystąpili już do pracy i gotują się do utworzenia Komitetu Obrony Narodowej jak to jasno widoczne z artykułu, drukowanego w Nr. 291 „Dziennika Związkowego“ z dnia 11 grudnia zeszłego roku. Ponieważ przypuszczają należy, że i my tutaj w Paranie damy o sobie znak życia i do ogólnej organizacji narodowej jak najprędzej przystąpimy, przeto nie od rzeczy bodaj będzie przytoczyć ów artykuł w całości, abyśmy zaczerpnęli z niego zachętę do stworzenia takiego samego albo przynajmniej podobnego komitetu w Kurytybie, czego się po nas zarówno stara Ojczyzna jak i wychodźstwo północno-amerykańskie na pewne spodziewać będzie. Narzekamy, i poniekąd słusznie, że społeczeństwo „starokrajskie“ nie nie chce o nas wiedzieć; że się nami nie interesuje, co nas boli i do skarg zniewała. Żal nasz jest zupełnie słuszny, ale uderzmy się w piersi i zapytajmy samych siebie a co też my takiego robimy, coby zachęcało stary kraj do zajmowania się nami, do troszczenia się o nas? Jak do tej pory zachowujemy się wobec starego kraju, wobec Ojczyzny naszej zupełnie obojętnie wcale nie starając się nawiązywać jakiegoś stosunku i stać je utrzymywać. Miłość musi być wzajemna: jeżeli społeczeństwo starokrajskie ma nas kochać i cokolwiek dla nas uczynić, musimy też i my dawać dowody

pamięci i uczucia, bez tego bowiem o cieplejszych wzajemnych a stałych stosunkach i mowy być nie może.

Leżąc oto nadarza się wyborna sposobność zadokumentowania naszej łączności ze starym krajem, zaświadczenia przed światem całym, że nie tylko Ojczyznę swoją nie zapomnieliśmy, ale przeciwie zawsze gorąco ją kochamy, zawsze szczerze jesteśmy do niej przywiązani, i gotowi iść na każde wezwanie tam, gdzie chodzi o dobro tej naszej Ojczyzny i Braci naszych jeszcze kładący niewoli politycznej znoszących. Korzystając ze sposobności powinniśmy pójść niezwłocznie za wezwaniem p. Rodziewicza i stanąć jak jeden mąż do apelu tworząc w Kurytybie nasz miejscowy Komitet Obrony Narodowej, aby łącznie z Rodakami w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, z którymi należałoby się zaraz porozumieć, wystąpić ze spólną akcją i przyłączyć się do organizacji wolnościowych w Starym Kraju działających.

Tymczasem ograniczamy się do ogólnikowego poruszenia tej sprawy w nadziei, że może głos nasz nie przejdzie bez wrazenia i że znajdzie się grono osób wpływowych, które da inicjatywę do akcji w tym kierunku; gdyby zaś nadzieje nasze zawiodły postaramy się sami wystąpić z inicjatywą i zachętą, podając szczegółowo sposób, w jakoby Komitet Obrony Narodowej w Paranie utworzyć należało.

Rozumiemy doskonale, że wobec braku zgody i jednności już nie tylko w całej Paranie, ale nawet w samej Kurytybie spólna praca jest niestety bardzo trudna i niewdzięczna; ale miejmy nadzieję, że nie jest znowu tak źle, ażebyśmy już dla dobra Ojczyzny nigdy razem i łącznie pracować nie potrafili, abyśmy się już nigdy nie zdobyli na ofiarę ze swych drobnych ambicji i ambicyjek, abyśmy sobie wzajemnie uraz darować nie mogli i nie zdołali raz narzecznie stanąć ramię przy ramieniu do spólnej pracy, której po nas Ojczyzna ma prawo oczekiwać.

Do czynu więc Rodacy — a zgodnie, a składnie, a bez straty czasu!

Wojciech Szukiewicz.

„Dziennik Związkowy Zgoda” pomieścił w Nr. 231 z d. 11 grudnia 1912 roku następujący uwagi godny artykuł:

Wczoraj w hotelu La Salle w śródmieściu zebrali się reprezentanci duchowieństwa, organizacji polskich i prasy, w celu omówienia wypadków w Polsce i co czynić należy, gdy Ojczyzna zażąda naszej pomocy.

Na zebranie to stawili się: Ks. biskup P. P. Rhode, jako przedstawiciel duchowieństwa polskiego. Organizacje reprezentowali: Związek Narodowy Polski — prezes K. Zychliński, wiceprezes Ksycycki i sekretarz Szymon J. Czuchowicz.

Zjednoczenie P. R. K. — prezes St. Adamkiewicz i redaktor Narodu Polskiego Fr. Barć.

Związek Polek — pani Anna Neumann, prezeska, panna Emilia Napieralska, sekretar. i pani Leokadya Kadow, kasjerka.

Związek Młodzieży Polskiej — J. M. Sienkiewicz.

Polską Partję Socjalistyczną — J. A. Borkowski.

Konfederację Młodzieży — M. Komorowski.

Sokolstwo Polskie — A. Grochowski, B. Wrzesiński, Dr. J. P. Zaleski i Fr. Perłowski.

Prasę polską — „Dziennik Narodowy”, Henryk Łokasński; „Dziennik Chicagowski”, St. Szwalkart, i Stowarzyszenie Literatów i Dziennikarzy, St. Osada.

Zebrań przewodził Dr. Józef Zaleski. Obecni po długich i ożywionych debatach, w których brali udział wszyscy bez wyjątku — od biskupa do... socjaliści, zgodzili się na to, że wypadki w kraju ojczystym są nader ważne, napięcie w społeczeństwie naszym wielkie, przygotowania wszędzie się czynione, zatem i wychodźstwo nie może wobec tego zachować się biernie. Uchwalono, że ma tu się utworzyć spólny Komitet Obrony Narodowej, złożony z przedstawicieli wszystkich naszych organizacji, stronnictw, partji i obozów, który wybierze stały zarząd z ludzi wyprobowanych i godnych zaufania, a wtedy rozpocznie się zbieranie składek na potrzeby wojenne naszej Ojczyzny.

Komitet ten będzie wybrany na nadzwyczajnym Zjeździe naszego Sokolstwa w Pittsburgu, który się rozpocznie 15 b. m. i gdzie się zbiorą reprezentanci wielu organizacji i prasy polskiej.

Zanim jednak będą miały być wysłane jakieś datki do Ojczyzny, komitet tutejszy porozumie się z wybitnymi rodakami w Polsce i dowie się czy tam istnieje jaki Komitet Centralny, czy jest potrzeba naszej pomocy oraz komu i na co mają być pieniądze wysyłane.

Po zgodnym omówieniu tak ważnej sprawy zebranie odczono.

Zobaczmy, co się da zrobić w Pittsburgu.

NA DRODZE!

Gdy się wybierasz w obie ci strony,

Za góry, lasy i wody,

Gdy z żalem żegnasz kął ten radzony,

Kat twój dziecięcej swobody —

Na starym twym przysięgnij przegu,

Że, jako twój ojcowie,

Wiernym zostanieś prawem Bogu,

Cnotam praojów i mowie.

A gdy w dalekich już dziedziach stronach,

Pamiętaj o swej godności,

Nie krot się obcym bogom w poklonach,

Dochwaj Polsce wierności

Blyskotki cudze niech cię nie nęca,

Do manier nie lgnij obczyzny,

Na skrzydłach myśli duszę dziecięcą

Na lono przodu Ojczyzny.

A gdy tam ceną trudną znojejno

Zapewnisz sobie byt życia,

Wracaj i powrotem do kraju tego,

Któregoś dzieckiem z powicia.

Bo choć na własnej nie znalazł grzędzie

Drogi przez życie kwiecień,

To gdzieś odpocząć milej ci będzie —

Jak nie na niwie ojczystej.

Ferdynand Kuras.

Paraná -- S. Catharina.

SPÓR GRANICZNY.

[Dokończenie.]

Rzeczpospolita nadała wszystkim prowincjom cesarstwa władzę zwierzchniczą w obrębie tych granic, w których jej została. Spory między Stanami ma załatwiać albo Kongres federalny albo najwyższy trybunał. Licząc na to, że znajduje w trybunale większość przychylną, Katarjńczycy w kilka lat po powstaniu rzeczypospolitej podnieśli na nowo swe żądania i udało się im uzyskać wyrok, który z ciężką szkodą Parany przysądził na ich korzyść cały

obszar sporny, leżący między rzekami Urugwajem i Iguassu.

Przyczynili się do tego wyniku głównie dwaj Katarjńczycy, mianowicie Lauro Müller, były minister handlu a obecnie spraw zewnętrznych, posiadający wielkie wpływy i stary, obecnie już zmarły Mafra, minister z czasów cesarstwa, sławny prawnik, który z nadzwyczajną skrupułością zebrał wielki materiał historyczno-prawniczy i bardzo zrzęcznie potrafił go użytkować. Interesów parańskich bronił Barradas, wprawdzie tegi adwokat, stojący jednak i pod względem powagi i pod względem zdolności i zrzęčnosti znacznie niżej od Mafry.

Dowodzenie Katarjńczyków wychodziło z założenia, że prawo własności musi opierać się na dokumentach, a parańscy nie posiadają takichowy. Samo zajęcie ziemi, na które się powołują, stanowi tylko wtedy tytuł własności, gdy wszystkie prawem przepisane warunki zadawnienia zostały spełnione, to zaś katarjńczycy stanowczo i nie bez podstawy zaprzeczają. Nie mając więc za sobą ani dokumentów ani zadawnienia, parańscy, wedle wywodów Mafry, nie posiadają żadnego prawa własności co do obszaru spornego. Większość trybunału, jak się okazuje z ogłoszonych podstaw wyroku, przyjęła te wywody za słuszne i zasądziła Paraną na utratę całego obszaru t. zw. *contestado*.

Tymczasem nie potrzeba zgola rozumu salomonowego, aby mózł pojąć, że wszystkie te wywody, aczkolwiek słuszne i prawdziwe, odnoszą się jednak wyłącznie do własności prywatnej, która przedewszystkim tam, gdzie stosunki gruntowe już są zorganizowane, musi rzeczywiście polegać albo na dokumentach albo na prawomocnym zadawnieniu. Atoli w sporze między Paraną a S. Katarjną wcale nie idzie o to, czyją własnością są pola, lasy i t. d. leżące na obszarze spornym, ale jedynie o to, komu przysłuza na tymże obszarze prawo zwierzchnictwa.

Otóż jednym z tytułów zwierzchnictwa uznanych od niepamiętnych czasów jako prawomocny, było i jest dotychczas zajęcie i osiedlenie kraju a prawo to nie ulega najmniejszej wątpliwości w tych wypadkach, gdy jakiś kraj nie miał żadnego zwierzchnika przed zajęciem. Tytuł zajęcia i używania ziemi, niemającej wprawie żadnego właściciela, wszedł nawet do prawodawstwa dotyczącego własności prywatnej, w kwestjach zaś

Adres Redakcji i administracji:

„NIWA”

—o— rua Itarare Nr. 86. —o—

Skrzynka postowa 87.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki,
środy i piątki od godz. 1. do 3. pop.

Prenumerata wynosi rocznie 88000

Pojedynczy numer kosztuje 200 rs.

Prenumetę przyjmuje w Korytchibie:
Marcin Szynda i S-ka, Praça Tiradentes
Nr. 25. Tamże sprzedaż pojedyn-
czych numerów.

dotyczących zwierzchnictwa i w prawie międzynarodowym pierwsze zajęcie i osiedlenie jest uznane jako fakt rozstrzygający. Na tej właśnie podstawie pozyskała Brazylia przy regulacji swych granic olbrzymie obszary a między innymi tak zwane terytorjum missynie stanowiące znaczną część obszaru spornego między Paraną a S. Kataryną. Pierwszy więc i zasadniczy błąd, popełniony przez większość trybunału, leży w tym, że sprawę dotyczącą zwierzchnictwa rozstrząsa na podstawie praw odnoszących się do własności prywatnej.

Drugi, bardzo ciężki błąd polega na tym, że najwyższy trybunał upatruje w owym dokumencie *oidwidora* desterreńskiego jakiegoś rozporządzenie najwyższej władzy, mające nieodwołalnie i po wszystkie czasy uregulować kwestję granic między S. Paulem i S. Kataryną. Tymczasem przed tym dokumentem żadnej tego rodzaju kwestji nie było: ona się dopiero od tego dokumentu datuje. Następnie było to pismo ułożone w czasie, gdy z powodu niechęci do S. Paula rząd portugalski przez przeciąg czterech lat zostawił tę kapitanie bez gubernatora a rządzą jej oddał gubernatorowi Rio de Janeiro. Ołóż jak oddanie tych rządów było z natury rzeczy tymczasowe i z zamiarowaniem nowego gubernatora dla S. Paula natychmiast ustalo, także ów akt *oidwidora* desterreńskiego, będący w ścisłym związku z oddaniem całej kapitanji paulistańskiej pod rządy riojaneireńskie, z ustaniem tych rządów traci naturalnie całą ważność, jeżeli ją w ogóle kiedykolwiek posiadał.

W rzeczywistości nowy gubernator S. Paula i jego następcy wykonywali

swą władzę na całym obszarze kapitanji aż do Urugwaju. Przeciwnie niema najmniejszego śladu w historii, któryby wskazywał, że kiedykolwiek aż do r. 1820 władza *oidwidorów* desterreńskich rozciągała się za Serzę do Mar. Choćby więc nawet ktoś przyznał prawomocność owego dokumentu, to musi ją ograniczyć na czas trwania rządów riojaneireńskich w S. Paulo, a więc na cztery lata, poczym gubernatorowie S. Paula objeli swą kapitanję w dawnych granicach, tak jak im ją właśnie oddawał rząd portugalski, który w aktach nominacji ani słówkiem nie wspomniął o jej uszczupieniu od południa.

Niestety chociaż ten dokument mógł mieć co najwyżej moc tymczasową (oczywiście tylko na papierze, bo nie był nigdy wykonany), chociaż rząd portugalski wogóle, a nawet wtedy, gdy mu to było na rękę, nigdy się nań nie powoływał, a więc widocznie go nie uznawał, chociaż cesarski rząd w Brazylji od tego rodzaju dokumentów z czasów kolonialnych żadnej wagi nie przywiązywał, bo je słusznie uważał jako wypływ chwilowych urosobień i zwrotów w polityce portugalskiej, jednak najwyższy trybunał rzeczywospolitej na tym jednym dokumencie oparł swój wyrok i lekceważąc wszelkie prawa w całym świecie obecnie w tego rodzaju sporach przyjęte, nie raczył zwrócić uwagi ani na prawa wynikające z blisko 300 letniego zajęcia i osiedlenia, ani na wolę ludności zajmującej ów obszar sporny. Wyrok w każdym razie nadzwyczajny, podkrotowany albo nadzwyczajnie sprawiedliwoscia, albo co najprawdopodobniejsza, niezwykłą mądrością.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ.

„POLSKIE KÓŁKO AMATORSKIE”

W S. MATEUSZU.

W sali klubu „Amantes da Prosperidade” urządziło „Polskie kółko amatorskie” w dniu 18 t. j. w sobotę i 19 w niedzielę przedstawienie teatralne.

Odegrano 2 sztukki: «Matka żyje», obrazek sceniczny z powstania 1830 roku i «Blażek opętany» krotchawła w 1 akcie.

Zawiązane dopiero pod kierownictwem podpisanego «Kółko amatorskie», którego celem jest przez urządzienie przedstawień podnoszenie ducha narodowego, budzenie poczucia i solidarności narodowej, występując po raz pierwszy, spisało się dzielnie.

Gra, pomimo pewnych braków, była bez zarzutu.

Na uwagę zasługują gra p. [Sławickiego w roli Blażka i Tadeusza; następnie p. Kęckiego w roli Czesława. Innych amatorów nie wymieniam, bo musiałbym wymienić wszystkich. Natomiast składam im za podjęty trud j. dobre chęci szczerze podziękowania.

Szteszki podobają się i zrobiły dobre wrażenie, zwłaszcza kostyumowy «Blażek opętany» z krakowskiemi sukmanami.

Dzień pierwszy przedstawienia, mimo niepewnej pogody, zgromadził sporo publiczności — przeważnie niemieckiej i brazylijskiej, która amatorów za grę sownie oklaskiwała. Polojni niestety prawie widać nie było.

Przedstawienie niedzielne, przeznaczone prawie wyłącznie dla kolonistów zamieszcowych, smutno o tylchże może wystawił świadekto.

Mimo przesłanej pogody i zachęty ze strony ks. prob. Smoluchy, (któremu tą drogą składam podziękowanie), by jak największa ilość przybyła na przedstawienie, — sala świeciła prawie pustkami. Byli sami miejscowi — około 50 osób — z zamieszcowych zaledwie kilka osób — reszta bezpośrednio po nabożeństwie, formalnie, jak od dżumy pociękała do domów. — Wszystko to jednak wskutek agitacji kilku osób, których na razie wymienić nie chce, bo może się opamiętaj, a które nie zczyłyby sobie, by śmiały ktoś urządzić przedstawienie i uświadamiać choć trochę lud. Smutnie myśli nasuwają się przy tym — mój Boże... kiedyż-to zejździe nam bielman z oczu?

O tutejszej szkole innym razem.

Marjon Gardoliński.

Dnia 1 lutego «Kółko Miłośników Sceny» Tow. im. Tadeusza Kościuszki w Kurytchibie dało dla członków i zaproszonych gości przedstawienie teatralne, na które złożyły się: fragment z «Dziadów» i wesola komedyjka «Nasze bliżkie».

Pomimo niedawnego istnienia «Kółka» amatorowie wykazali sporo swobody i temperamentu scenicznego. Na szczególnejsze podkreślenie zasługuje fakt, że wszyscy artyści umieli dobrze swe role na pamięć, co świadczy o sumiennym traktowaniu zadania, a co stanowi pierwszy warunek dobrego opanowania ról. Amatorowie lekceważą bardzo często wyuczenie się na pamięć swych róllicznie żytynio na suflera, co jest wielkim błędem.

Liczni słuchacze przerywali grę amatorów wycuchami śmiechu i daryli ich dobrze zasłużonymi oklaskami

Sympatycznemu «Kółku» życzymy powodzenia i rozwoju.

Niniejszym upraszam się Sz. Członkowi «Towarzystwa Szkoty Lud.» o przybycie na Walne Roczne Zebranie w dniu 9-go lutego t. j. w niedzielę o godz. 2 1/2 po południu w lokalu T-wa przy ulicy Assunguy Nr. 44.

Za Zarząd «T-wa Szk. Lud.»

Prezes: Málnowski,
Sekretarz: Wierzbowski.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Ziemi Chełmskiej

WRAŻENIA I NOTATKI.

I. MISJA.

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawałił:

— Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misji, a tak mi głęboko wyrzyła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unji przed aktem tolerancji.

„Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia razem z prawosławna. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękle do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosiło się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodził mi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

— Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udaju.

— Zachorowała w nocy, leży prawie konająca! — mówi, trąc rękawem oczy.

— To idźcie do pani, może wam co pomoże.

— Kiedy się bojemy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimę.

— A może wam sprowadzić doktora? — proponuję mu bardzo serjo.

Jakby się zdumiał, aż garść otworzył. Ale naraz rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony:

— Dopraszam się tylko o księdza! Doktor nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czworak, bo do parafii mieliśmy cztery opętane mile i roztopami, ale gdym miał czworaki, wydało mi się,

że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmiącą prosiętą. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wylazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dzwinnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknawszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

— Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła w takim naciskiem i oczy jej tak błyszczały, że byłem pewien, iż majaczy.

— Ja zdrowa jestem, chwala Bogu! — odpowiadała. — Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katolicka?

— A któż chorey? — zaczynałem rozumieć ten podstęp.

— Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne, to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męcza, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza. Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesia na ten czas do izby i wypowiedziada się. Strażniki ani się domyślą.

— Chcę ospę przywleć do chałupy! — krzyknęłam na nią.

— Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! — odparła poważnie.

— Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać! — tłumaczyłem.

— To już trudno. Może Jezus w czym innym okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz czowiekowskich! — dodawała z taką mocą, że dałem spokój perswazjom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorego do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa pomykała im w

garście pozapalane gronnice, przyklekła w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli niernuchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zanosił jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczym“. Weszli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywyżyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszystcy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

GORZKO zapłaciła za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

— Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatraty!

Otóż wkrótce po odjeździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelarii, a tylko ko zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno, i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi z bliska w twarz i szepnął:

— Jutro w nocy misja!

— Gdzie?

— W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

— Skąd jesteście? — spytałem go mimowoli.

— Z całego świata! — odpowiadał bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

— Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią — rzekł jakimś biblijnym tonem.

— A czy mogę zabrać żonę na misję?

— Za daleka droga dla dziedziczki. A prztytm kobiecie łatwiej umrzeć, niż dochować sekretu. — Zabierał się do odejścia.

— Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

— Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowina śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

— Ale proboszcz nie będzie na misji? — To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafjalny propinator!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjaźnie.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalną, mocną szkapę i pojechałem. Przed karczmą stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedzieli dwóch chłopów, a skorem dojechał i chciał wyminać, ruszyli przodem nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechał mi noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orjentować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na ciepleszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wznosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną drożkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kaluż, przedświątecznego rwetuś i psów, które mnie przeprowadziły zajadym szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowolnie zacząłem konia do pospiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole pluhami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnym, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po bródzadach siewiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedzieli paru chłopów, i kiedy im wymijał, podnieśli się, rzucili mi: „Pochwalony” i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedy mi wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

— Strażnik idzie za panem! Trzeba skręcić na prawo, przejechać koło cha-

łupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! — I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wązka drożka, obsadzona gęsto wierzbina, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły białone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyczał się na skrócie, pilnie niek z poza drzew obserwując, a chłopci maszerowali gęściego ku lasom niedalekim.

Pojechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiegobądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianymi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzając konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Ale dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły się naraz jakieś wrota i, skorem w nie wjechał, zatrzasnął się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrośliwie:

— Konia można postawić pod szkapę. — I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stalo już tam kilka tęgich mierzynków. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przezerały bardzo mało światła, ale w czerwonych brząskach komina dojeżdżałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszepotali między sobą, i poczułem, że mnie okrajają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywając. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misję, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

— Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odsoobnienie, objaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gązi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyrzeć zebrany. Nikogo jednak nie znalazłem obojętnie, ale dobrane znalazłem ten typ bohaterki, że surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulekłe i te męczeńskie głowy „opornych”.

— Chyba oby tutajby nie trafił! — powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

— Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek jak smród, wszędzie się wieśnie.

— Trzeba się nieraz strzedz własnego cienia.

— A to ciężko się uchronić! Mało to „duszołapów” weszły za każdym opornym!

— Parę dni temu wynudchali Michała Klimkiu z Wisnucy.

— Co się stało? — odezwały się strwożone głosy.

— A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! — zwrócił się do mnie. — Brał go jeszcze jesienią w Krakowie.

Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przypiepnili ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia podzierałi z dachów, i znaleźli ślubną metrykę! Co się im przytym zaraz dostało, to jeden Bóg wie. Ja związałi, jak barana, i popędziłi do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

— Chyba się na to nie zgodzi — wtrąciłem.

— To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unji, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberji. To oporny z opornych. Wiadzą o tym dobrze, i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych, codziennych, systematycznych ztęcań się nad niemi, z kar, płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby, odprawiane nocy, ukradkiam, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrowek po sądach, komisjach i więzieniach, z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgrzyoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotomie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dyoklecjana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zerwanie rokowań pokojowych i wznowienie kroków wojennych — oto najważniejsze wiadomości ubiegłego tygodnia.

Bułgarzy rozpoczęli energiczne bombardowanie Adrianopola, którego zabęga, pomimo wzniesianych przez pociski bułgarskie pożarów, broni się tym dzielnie, że, wogóle, turycy wykazują ogromne podniesienie ducha, a przez czas zawieszania broni wzmogli znacznie swe siły.

Na linii obronnej Czataldji także zagrzanieli działa; huk ich dochodzi do Konstantynopola. Stolica przepeliona wojskiem, które nadeszło i wciąż nadechodzi z Azji. Organizatorzy wznowionego odporu, młodoturcy, widocznie mają posłuch, gdyż w Konstantynopolu panuje spokój zupełny, i mocarstwa, które tam mają swe statki wojenne, zniechęły wyszyczenia na ład załóg marynarskich, wykazując zaufanie do rządu tureckiego, że zdolen jest utrzymać porządek w milionowym mieście.

Pomimo tego, że uwaga prasy krajów walczących z natury rzeczy musi być pochłonięta wypadkami wojennymi, nie spuszcza ona z oka tego, co się w prasie europejskiej pisze o Bałkanach, o krajach bałkańskich i o rozgrywających się tam zapasach. Nie tak dawno dzienniki humorystyczne niemieckie pozwoliły sobie na bardzo trwałe a nawet cyniczne dowcipy względem serbów i bułgarów. Między innymi znany Simplificissimus pomieścił iście pruski dowcip, że „to szkoda, iż turycy ucinają bułgarom i serbom ręce, gdyż ci ostatni nie będą mieli czym się drapać po głowie“, podkreślając w ten sposób niechlujstwo ludów bałkańskich.

Prasa serbska i bułgarska podniosły krzyk oburzenia, a wszystkie te humorystyczne „błaty“ wnet zostały wyrzuczone z krajów południowo-słowiańskich.

Obecnie w prasie bałkańskiej sprzymierzoną panuje oburzenie na znakomitego pisarza francuskiego Piotra Loti'ego, który wydał książkę pod tytułem „Konajęca Turcja“, a w książce tej w barwny sposób przedstawił okrucieństwa, jakich dopuszczają się wojska państw sprzymierzonych bałkańskich na ludność turecką.

Rozumiemy dobrze oburzenie patrio-tyczne interesowanych dzienników, ale w danym razie Loti, zdaje się, nie

przesadził. Korespondenci pism bezstronnych przytaczali niejednokrotnie fakty bezprzykładnego zniecia się nad ludnością turecką ze strony greków, serbów i bułgarów.

Dziwić się temu nie można. Wojna sama przez się sprzyja przejawianiu się najdzikszych instynktów i trzeba wojsk bardzo karnych, trzeba oficerów bardzo uspołeczniomych, aby podobne rzeczy nie działy się tam, gdzie wyrocznią jest kula i bagnet, a życie ludzkie nie ma wartości żadnej.

Wysilek militarny państw bałkańskich włą w szeregi walczące już nie wybór żołnierza wyćwiczonego i karnego, ale całe masy zapasowych, których poziom kulturalny jest bardzo niski, a nienawidź do turków i wspomnienia dawnych krzywd bardzo żywe.

Pociąg, którym dążył z Niemiec do Rumunii, książę Eitel, syn cesarza Wilhelma, wykoilei się. Zginęło lub zostało rannych kilka osób, ale ks. Eitel wyszedł cało. Jak zwykle w takich rzach prasa rządowa przypuszcza zamach anarchystyczny.

Jeżeli wymuli się pociąg, napemionym setką zwykłych obywateli, obciążonych podatkami, z których Eitelowie opłacają błyskawiczne pociągi, „dostarczających żołnierza, którego Eitelowie są niepodzielnymi wladcami, jest to wypadek zwykły, naturalny, nieuchronny, ale, gdy jaki Eitel wywróci się i stłucze sobie serdeczny odcisk, to już jest zamach anarchystyczny, z którego się kuje oręż przeciw stronnictwom i pismom, dążącym do pozabawienia wszystkich Eitelów ich niezszuczonych, uprzywilejowanych stanowisk.

Niech na kolejach nie będzie przeprowadzanych maszynistów i padających ze znużenia telegrafistów, niech się nie robią oszczędności, kosztem życia i zdrowia tysięcy pracowników kolejowych; wtenczas każdy Eitel będzie mógł sobie jeździć bezpiecznie nawet z podwójną szybkością, a zamachy anarchystyczne przestaną być straszakami opinii publicznej.

Ks.

KRONIKA.

SŁAWNE PORZĄDKI. — Złane są nam europejsko-kom porządkami na pocztach brazylijskich, ale pocztą w Ponta Grossie w tym wypadku zdaje się, że osiągnęła zupełny rekord. Listy oddawane są bardzo często — o ile wogó-

le są oddawane — dopiero po kilku, kilkunastu tygodniach, a nawet po roku. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z gazetami, które z zasady giną. W ostatnich czasach zmuszony byłem pisać do kraju, by przesyłano gazety w paczkach poleconych — niestety i te giną. Interpelacja odnosi ten skutek, że pan urzelnik pocztowy odpowiada: „gazety przecież nie są to rzeczy wartościowe“. By nie być gołosłownym, lecz poprzeć swe oskarżenie danemi, podaję tu fakty o nieporządkach tej pocztą. Oto przed kilku dniami przysłano na naszą kolonję t. j. Guaraneu gazety z następującymi adresami *notabene* drukowanemi i w brazylijskim języku: Sr. Ch. Schwartz, Rio de Janeiro; p. a. Klabin, Irmaos et Cia, Mark Jirigo, Sr. Jan Rysicz, Cruz Machado via Mar. Mallet, Sr. Jose Pitas, Ijuhy Rio Grande do Sul, Sng. M. Kaufman Rio de Janeiro, Sr. dr. Procope Davidoff Station Babylonia Estado S. Paulo.

Oto porządku pocztą w Ponta Grossie a trzeba dodać, że już mieliśmy i listy przysyłane z adresami zupełnie innymi. Czas wielki ku temu, aby odnośne władze zrobiły porządek na naszej poczcie, gdyż podobne rzeczy mogą się dziać w dzikich Indjach a Brazylja uważa się badaj za kraj cywilizowany.

W. Rodziewicz.

„KÓŁKO MŁODZ. POLS.“

W niedzielę dn. 9. bm. odbędzie się posiedzenie Zarządu „Kółka Młodzieży“ o godzinie 8 po południu w lokalu Towarzystwa przy ulicy Colombo.

ZE „SOKOŁA“

Na Walnym Zebraniu dn. 19 stycznia 1913. został wybrany nowy Zarząd „Sokoła“ w skład którego weszli następujący dbrnowie: Prezes P. Błażejewski, Wice-prezes K. Piątkowski, Sekretarz E. Rychter, Wice-sekretarz W. Nowicki, Skarbnik M. Bochniak, Bibliotekarz H. Adamik, Chorąży S. Kostrzewski, Wice-chorąży M. Janosz. Do Komisji Rewizyjnej weszli pp.: M. Janosz, R. Skorupski, Grudzień, A. Gąsiorowska.

Na tymże zebraniu postanowiono rozpocząć ćwiczenia gimnastyczne, które odbywać się będą w poniedziałki każdego tygodnia o godzinie 8 wieczorem, począwszy od dnia 10. stycznia 1913. Ćwiczenia te będą się odbywać pod kierownictwem K. Piątkowskiego i J. Linderskiego. Postanowiono również urzą-

dział wieczornicę w każdą trzecią niedzielę po pierwszym każdego miesiąca.

Wstęp na wieczornicę przysługuje tylko członkom Towarzystwa.

Sekretarz: *Edward Rychter.*

Niżej podpisany poszukuje Bronisława Wierzbickiego w celu doręczenia mu pieniędzy nadesłanych od rodziny. Koniecznym jest, ażeby poszukiwany zgłosił się listownie wskazując zarazem miejsce, gdzie chciałby odbierać miesięcznie pieniądze.

Roman Paul.

PIOTR ZEREK z Wolbromia w Kieleckiej gubernji, Królestwo Polskie, poszukuje brata swego *Maksymiljana*, który przybył do Brazylii przed rokiem i dotąd napisał do rodziny jeden tylko list, podając swój ostatni adres: Maksymilian Zerek, Sociedade Polaca, Agua Branca, Rio Grande do Sul. Ktoby wiedział o miejscu pobytu poszukiwanego Maksymiljana Zerka zechce laskawie donieść redakcji „Niwy“.

ROZKŁAD POCIĄGÓW.

W stronę portu Paranagua wychodzą pociągi codziennie z Kurytyby o godz. 6 min. 30 rano i przybywają do Paranagua o godz. 10 min. 30 przed południem.

Z Paranagua zaś wychodzą codziennie o godz. 2 min. 30 po poł. i przybywają do Kurytyby o godz. 6 minut 30 wieczorem.

Bezpośrednie pociągi w stronę S. Paulo kursują w poniedziałki środy i piątki.

Wychodzą z Kurytyby o g. 5. min. 20 rano i przychodzą do P. Grossy o g. 11 min. 30 przed południem.

Wychodzą z P. Grossy o g. 11,45 przed poł., przychodzą do Itarare o g. 7 min. 50 wieczorem; wychodzą z Itarare o g. 8. min. 20 wiecz., a do S. Paulo przychodzą o g. 9 min. 15 rano.

Do Ponta Grossy wychodzą pociągi z Kurytyby codziennie o godz. 5. min. 20 rano, a przychodzą do P. Grossy o g. 11. min. 30 przed południem.

RODACY!

•Czytajcie i rozpowszechniajcie „Niwę“.

Ign. Szańkowski. — Inżynier.

RYSUNKI TECHNICZNE, MAPY, KOPJE, NIWELACJE, POMIARY GRUNTÓW. o—o—o TANIO I SZYBKO!

Adres: **Kurytyba, ul. Matto Grosso Nr. 43.**

WIELKI SKLEP POLSKI Marcina Szyndy i S-ki przy placu Tiradentes Nr. 25.

Ma zawsze na składzie mąkę pszenną, żytnią i kukurydzaną; cukier, ryż, sól, śledzie, sliwki, rodzenki i wszelkiego rodzaju konserwy owocowe, tudzież najlepszą KAWĘ mieloną WŁASNEJ FABRYKI; kukurydzę, fasolę, otręby, siewkę i wszelkie produkty rolne z kolonji.

Trunki krajowe i zagraniczne w najlepszych gatunkach.

Kupuje produkty rolne jak kukurydzę, fasolę, ziemniaki, masło, jaja, drzewo i t. p. i t. p.

Przyjmuje prenumeratę „Ni-

wy“ i sprzedaje pojedynczo

specjalnie.

Sprzedaz hurtowna na kolonje i detaliczna.

Ceny przystępne!

Zapytanie?

Odpowiedź!

Z dniem 15 października b. r. zostało otworzone w Kurytybie przy Praça Osorio Nr. 16

BIURO INFORMACJI I POSREDNICTWA

DLA

Pracodawców i szukających pracy we wszystkich rodzajach zajęć jako to: w handlu, rzemiośle, służbie domowej, i t. d.

Dla kupna i sprzedaży domów, sklepów (vend), placów budowlanych, lotów, sz akrów, fazend, mebli, i wszelkich innych przedmiotów.

Dla wynajmu mieszkań i t. d.

Pośrednictwo przy zawarciu związków małżeńskich. (Co się tyczy tego ostatniego najściślejsza dyskrecja).
SUMIENNA I SZYBKA OBSŁUGA!

Z biurem można się porozumiewać ustnie i piśmiennie w języku portugalskim, niemieckim, polskim i ruskim.
Biuro otwarte od 7—12 przed południem i od 2—6 po południu w dni powszednie.

Postęp nie zna zastoju — kroczy naprzód!

We wszystkich kulturalnych krajach tak starego jak i nowego świata istnieją już od dawna prawie w każdym mieście i miasteczku takie biura i ludność uważa je za niezbędne, a posługując się nimi oszczędza czas i pieniądze!

Korzystajmy przeto i my z tej sposobności i kto tylko potrzebuje jakiej informacji niech udaje się do wyżej wspomnianego biura!

Zarząd.

Jedyny polski Zakład Zegar-

mistrzowski



w Kurytybie

przy placu Tiradentes Nr. 47.

Wszelkie roboty wchodzące w zakres zegarmistrzowski i rytownicy wykonują starannie i po cenzach bezkonkurencyjnych. Jako specjalność polecam pierścienki i obrączki ślubne napisami.

Z poważaniem

ANTONI WOLIŃSKI.

Apteka Carrano & Ferreira

KURITYBA

ul. Marecha! Deodoro Nr. 34.

zaopatrzona we wszelkie środki lecznicze, zadatwia recepty o każdej porze dnia i nocy, wyrabia i poleca PEITORAL PARANAENSE, stosowany w kaszlu, astmie, nieliczy, oskrzeli oraz innych chorobach płuc.

Flaska 2. mila.

Nabywać można w każdej aptece.

Dr. S. Kossobudzki

przyjmuje od 1. do 4. po poł.
w aptece Carrano przy ulicy
Marechal Deodoro Nr. 34.

Mieszkanie — Praça OZORIO
Nr. 14. Telefon 243.

HASŁA „NIWY”.

Kupa, bracie dąż do celu
W zgodzie i miłości!
Sam nie dzielając, dziela wielu
Dla dobra ludzkości.

Bał nam los poohodniw w ręce,
Co się polską duszą zwie,
Ozy w weselu, czy też w męce,
awiatło nam cżywczc śle.
Dbajmy by nie zgwał,
To są „Niwyy” hasła.

Robert Mikoszewski.

GABINET DENTYSTYCZNY.

Przyjęcia od 9. godz. rano do 4. pp.

Plac Osorio Nr. 1.